

## *Julia, czyli Nowa Heloiza*

Gdybym miał dokładnie określić, co się w tym domu czyni dla szczęścia, najlepszą chyba dałbym odpowiedź, mówiąc „tutaj umieją żyć”; nie według znaczenia, jakie się daje temu terminowi we Francji, nie chodzi bowiem o światowe wobec innych ułożenie, ale o życie, do którego się rodzi człowiek, o życie, o którym ty mi mówisz, jakiego sam dałeś mi przykład; życie przedłużające się poza własne granice, takie, które w dniu śmierci nie wyda się nam stracone.

Julia ma ojca troszczącego się o zamożność rodziny; ma dzieci, którym trzeba zapewnić przyzwoite utrzymanie. To stać się winno główną troską człowieka społecznego, a jest zarazem pierwszą sprawą, jaką wspólnie z mężem we dwoje podjęli. Obejmując gospodarstwo, zbadali stan swego majątku, mniej zważając na jego wielkość zgodną z ich kondycją, więcej na własne potrzeby; w przekonaniu, że mógłby zadowolić każdą zacną rodzinę, nie lękali się w pełni zaufać własnym dzieciom i odsunąć obawę, że pozostawiona im ojcowizna może kiedyś im wydać się za małą. Tak więc postarali się raczej o ulepszenie niż pomnożenie majątku; pieniądze umieścili nie tyle korzystnie, ile pewnie; zamiast kupować nowe ziemie podnieśli wartość posiadanych i przykład, jaki dają swym postępowaniem, to jedyny skarb, o który pragną powiększyć swe dziedzictwo. [...]

Państwo domu cieszą się dość mierną, według oceny świata, fortuną; ale naprawdę nie znam nikogo od nich majątniejszego. Absolutne bogactwo nie istnieje. Słowem tym oznaczamy tylko to, co zbywa bogatemu po zaspokojeniu pragnień. Jeden jest bogaty mając mórg ziemi; inny ubogi pośród stosów złota. Rozpusta i fantazje nie znają granic i więcej niż prawdziwe potrzeby przysparzają biedaków. Tutaj proporcja opiera się na fundamencie zapewniającym jej niewzruszoną trwałość, to znaczy na układzie między małżonkami. Mąż zajął się pilnowaniem dochodów, żona kieruje ich przeznaczeniem, a wzajemna harmonia stanowi źródło bogactwa.

Najbardziej uderzyła mnie w tym domu zamożność, jaką tam znalazłem, a także swoboda i radość połączona z porządkiem i akuratnością. Wielkim błędem dobrze prowadzonych domów jest tchnący z nich smutek i przymus. Zbytnej zapobiegliwości państwa towarzyszy zawsze nieco skąpstwa. Wszystko dookoła wykazuje skrępowanie; surowość porządku ma w sobie coś poniżającego, co się niełatwo da znosić. Służba spełnia swe powinności, ale z niezadowoloną i zalęknioną miną. Goście są do-

brze przyjmowani, ale nieufnie korzystają z udzielanej im swobody, a ponieważ zawsze czują się wyjęci z ogólnej reguły, drżą na każdym kroku, aby się nie uprzykrzyć. Widać tam, że ojcowie, niczym niewolnicy, nie żyją dla siebie, ale dla swych dzieci; nie myślą jednak o tym, że są nie tylko ojcami, ale i ludźmi, i że winni dawać dzieciom przykład życia ludzkiego oraz szczęścia płynącego z mądrości. Tutaj natomiast postępuje się za słuszniejszymi wskazaniem. Uważa się, że jedną z głównych powinności dobrego ojca jest nie tylko wprowadzenie do domu wesołości, aby przywiązać dzieci, ale stworzenie sobie także miłego i przyjemnego życia, aby poczuły, że są szczęśliwe, żyjąc tak jak ojciec, i nie miały pokusy wybrać całkiem innego postępowania. Jedną z maksym, jakie pan de Wolmar najczęściej powtarza, mówiąc o zabawach dwóch kuzynek, jest ta, że smutne i ograniczone życie ojców i matek jest prawie zawsze pierwszym powodem rozpusty dzieci.

Co do Julii, której jedyną i najpewniejszą regułą postępowania było zawsze serce, jest mu posłuszna bez skrupułów i robi wszystko dobro, jakiego ono od nie zażąda. A serce nie przestaje żądać wiele, choć nikt jak ona nie potrafi cenić przyjemności życia. Jakże by ta czuła dusza nie ulegała rozkoszom? Przeciwnie, lubi je, poszukuje ich i nie odmawia sobie nigdy tych, które jej odpowiadają; widać, że potrafi w nich smakować: ale przyjemności te to przyjemności Julii. Nie zaniedbuje ani wygody własnej, ani ludzi, którzy są jej drodzy, to znaczy wszystkich dookoła siebie. Nie uważa za zbyt cenne tego, co może się przyczynić do zadowolenia rozsądnej osoby; ale zbyt cennym nazywa wszystko, co służy jedynie dla olśnienia innych, tak że w jej domu znajduje się przyjemności i dogadzanie zmysłom bez miękkości i przesady. [...]

Tak jak pierwszym krokiem ku dobru jest powstrzymanie się od zła, pierwszym krokiem ku szczęściu jest nieobecność cierpienia. Te dwie zasady, które, odpowiednio zrozumiane, zastąpiłyby wiele przepisów moralności, są drogą pani de Wolmar. Jest niezmiernie czuła na niewygodę własną i innych i nie łatwiej przyszłoby jej być szczęśliwą, widząc wokół biedaków, niż prawemu człowiekowi zachować nienaruszoną cnotę, żyjąc ciągle między złymi. Nie ma w niej tej barbarzyńskiej litości zadowolającej się odwracaniem oczu od nieszczęść, którym można by przynieść ulgę. Idzie ich szukać, aby je leczyć, dręczy ją nie widok, lecz istnienie nieszczęśliwych; nie wystarcza jej nie wiedzieć, że są; dla własnego spokoju musi przekonać się, że ich nie ma, przynajmniej w pobliżu; widzieć bowiem warunek swego szczęścia w szczęściu wszystkich ludzi byłoby czymś bardzo nierozsądnym. Dowiaduje się o potrzebach sąsiedztwa z gotowością, jaką się wkłada tylko we własny interes; zna wszystkich dookoła; rozsze-

rza, rzec można, na nich granice własnej rodziny i nie szczędzi żadnego trudu, aby uwolnić ich od wszelkich bólów i trosk, jakim podlega ludzkie życie.

J.-J. Rousseau, *Nowa Heloiza*, przeł. E. Rządowska, ZNiO,  
Wrocław 1962

### *Julia, czyli Nowa Heloiza*

To co mnie długo zwodziło, a i ciebie pewno jeszcze zwodzi, to myśl, że miłość jest konieczna dla zawiązania szczęśliwego stadła [związku małżeńskiego – T.W.]. Mój przyjacielu, to omyłka; uczciwość, cnota, pewna zgodność nie tyle kondycji i wieku, ile charakterów i kompleksji wystarczą obojgu małżonkom; co nie przeszkadza wcale, aby z owego związku nie wynikło bardzo trwałe przywiązanie, które, nie będąc właściwie miłością, nie mniej od niej jest słodkie, za to bardziej trwałe. Miłości towarzyszy ciągle podejrzliwość, zazdrość albo niedosyt, który nie przystoi w małżeństwie, będącym stanem zażywania i pokoju. Nie na to poślubia się kogoś, aby myśleć bezustannie jedno o drugim, ale by wspólnie wypełniać powinności życia obywatelskiego, roztropnie rządzić domem, dobrze wychowywać dzieci. Kochankowie widzą zawsze tylko siebie, zajmują się ciągle tylko sobą, a kochanie się jest jedyną rzeczą, którą umieją robić. To nie wystarcza małżonkom, którzy mają tyle innych starań na głowie. Nie ma namiętności, która by nas mamiła bardziej niż miłość. Gwałtowność jej bierze się za oznakę trwałości; serce zbyt ciężko obciążone tak słodkim uczuciem rozszerza je, rzec można, na przyszłość i jak długo trwa owa miłość, trwa również przeświadczenie, że nigdy nie będzie miała kresu. Ale dzieje się przeciwnie; miłość spala się sama we własnym ogniu; zużywa się razem z młodością, gaśnie razem z pięknnością, ochładza się pod lodami starości i od stworzenia świata nie widziano, żeby dwoje siwowłosych kochanków wdychało słodko do siebie. A więc trzeba wiedzieć, że wcześniej czy później skończy się wzajemne uwielbienie; a po obaleniu bożka, któremu się służyło, oglądamy się wzajemnie takimi, jakimi jesteśmy. Szukamy wówczas ze zdziwieniem umiłowanego przedmiotu; nie znajdując go, dąsamy się na to, co z niego pozostało, przy tym nieraz wyobrażnia równie go oszpeca, jak dawniej zdobiła; mało jest ludzi, mówi La

Rochefoucauld, którzy by się nie wstydzili swej miłości, gdy przestali kochać. Jak bardzo więc należy się obawiać, aby nuda nie zastąpiła zbyt żywych uczuć, aby ich schyłek nie przyniósł nie tylko obojętności, ale wręcz obrzydzenia, i aby nie zjawił się w końcu przesyt, który za to, że się zbyt nio kochało, będąc kochankami, doprowadza małżonków do wzajemnej nienawiści. Mój drogi przyjacielu, wydawałeś mi się zawsze bardzo miły, aż nazbyt miły, jak na mój spokój i niewinność; ale widziałam cię nieustannie zakochanego, skąd więc mogę wiedzieć, jakim byłbyś, przestając mnie kochać? Przyznaję, że pod wygasłą miłością tliłaby się zawsze cnota; ale czyż to wystarcza, aby być szczęśliwym w związku, którego więzy powinno zaciskać serce; a iluż cnotliwych mężczyzn staje się nieznośnymi mężami? O tym wszystkim możesz tyle samo, co ja, powiedzieć.

Jeśli chodzi o Pana de Wolmar, żadne fałszywe mniemanie nie uprzedza nas do siebie; widzimy się takimi, jakimi jesteśmy; łączące nas uczucie nie jest ślepym wybuchem namiętnych serc, ale niezmiennym i stałym przywiązaniem dwóch uczciwych i rozsądnych osób, które skazane na spędzenie razem reszty życia są zadowolone ze swego losu i starają się nawzajem go sobie umilić. Wydaje mi się, że gdyby nas naumyślnie stworzono dla wspólnego związku, nie udałoby się to lepiej. Gdyby on miał równie jak ja tkliwe serce, trudno byłoby unikać czasami zbyt wielkiej z obu stron czułości i wynikających stąd kłótni. Gdybym była tak jak on spokojna, zbyt duża oziębłość czyniłaby nasze towarzystwo mniej miłym i słodkim. Gdyby mnie wcale nie kochał, źle by nam było razem; gdyby mnie kochał zbyt gorąco, sprzykrzyłby mi się niezawodnie. Każde z nas obojga jest dokładnie takie, jakim być powinno dla drugiego; on mnie oświeca, ja go pobudzam; więcej jesteśmy warci razem i wydaje się, że przeznaczeniem naszym jest tworzyć jedną duszę, której on jest rozumem, a ja wolą. Nawet jego nieco posunięty wiek wychodzi obojgu na dobre; bo, dręczona taką jak moja namiętnością, z dużo większym żalem poślubiłabym na pewno młodszego i ten nadmiar niechęci przeszkodziłby być może szczęśliwej odmianie, jaka się we mnie dokonała.

Mój przyjacielu, Niebo oświeca dobre zamiary rodziców i wynagradza posłuszeństwo dzieci. Broń Boże, abym pragnęła sztydzić z twej udręki. Jedynie pragnienie pełnego utwierdzenia cię co do mego losu każe mi dodać to, co ci teraz powiem. Gdybym kierowana dawnymi do ciebie uczuciami i doświadczeniem, jakie mam teraz, była jeszcze wolna i mogła dokonać wyboru męża, biorę za świadka mej szczerości tego Boga, który raczy mnie oświecać i czyta w głębi mego serca, że wybrałabym nie ciebie, ale pana de Wolmar. (część 3, list XX)